ROZMAITOŚCI.

Dnia 2. Kwietnia **N^er^ 14.** **Roku 1842.**

OBRAZY Z ŻYCIA PARYZKIEGO.

KOCHANEK I MĄŻ.

Ledwie była siódma z-rana, gdy Alfreda de Neuilly w pierwszym jeszcze śnie budzi nagle niezwyczajny hałas, i rozpędza słodkie marzenia, jakie młodego, bogatego człowieka kołysać mogą. Ciężką jeszcze głowę spiéra na łokciu, i z na wpół otwartémi oczyma czeka, co to będzie. Słyszy żywy spór toczący się w przedpokoju i swego sługę mówiącego: »Zmiłuj się panie, nie upiéraj się, służby mnie pozbawisz.« — »Puszczaj Grzegorzu, nie żartuj, dawaj klucz, otwórz, ja za to odpowiém.« — I otwarły się drzwi, i wpadł do pokoju sypialnego przyjaciel Alfreda, Alfons de Meran, i bez tchu rzucił się w krzesło.

»Toś ty Alfonsie«, rzekł poziéwając Neuilly z wyrazem najgorszego humoru. »Cóż cię tak rano sprowadza?«

»Alfredzie wielkie nieszczęście!«

»Jakie? Mów!«

»Największe, jakie mi wydarzyć się mogło. Pojedynek.«

»Pojedynek? I nic więcéj? Jabym to zaledwie nieprzyjemnością nazwał.«

»Pojedynek z Flavignim.«

»Ach!« krzyknął Alfred i spuścił głowę na poduszkę; musiała rzecz wydać się mu ważna. Flavigny był mężem młodéj, pięknéj osoby, którą jedynie pojął dla majątku i dla dogodzenia woli swéj rodziny, a któréj nie jeden z towarzyszy lat młodych mu zazdrościł. Lecz Flavigny nie widział potrzeby wyrzeczenia się dla niéj dawnych zwyczajów i przyjemności kawalerskiego życia. Młoda żona, zaniedbana przez męża, który jéj był narzucony, bez doradcy, bez podpory, długo opiérała się wrażeniom lekkomyślnego świata. Lecz gdy spostrzegła, że nic nie zdoła przywiązać Flavigniego, który rad, iż miał dziedzica swego imienia, dla jego matki stawał się coraz obojętniejszym, opuszczona sądziła, iż jéj wolno uczynić krok, którego w walce z powinnością długo się wzbraniała. W gronie czcicieli otaczających panią Flavigny, odznaczał się Alfons de Meran dowcipem, przyjemnością w obcowaniu, i głębszém od innych uczuciem. Ich serca już się do siebie zbliżyły, gdy nagle przypadek zdarzył, że Alfons miał z bronią w ręku stanąć na przeciw zdradzonego męża.

»Pojedynek z Flavignim«, odezwał się Alfred po długiém milczeniu. »Biedny Alfonsie! Ależ powiedz jak się to stało? Myślałem przecie, że Flavigny ma więcéj rozumu.«

»I ja tak myślałem«, rzekł Alfons naiwnie.

»Nie żyliżeście w przyjaźni?«

»W najlepszéj.«

»Któż więc wydał przed nim, że.....?«

»Bóg wié. Jakaś dusza poczciwa, która mi szczęścia mego zazdrości, musiała jego miłość własną podrażnić i poniewolnie go do tego przywieść, bo Flavigny nigdy żony nie kochał.«

»To się da zagodzić!«

»Niepodobna. Czy nie wiesz, co to obrażona miłość własna. Wczoraj, gdym wracał z opery, gdziem, trzeba ci wiedzieć, cały wieczór w loży *małéj Zoe* przepędził, rzuca się Flavigny na mnie jak szalony, oskarza mnie o zdradę, dodając, że ujmę honoru krwią tylko zmyć mogę. Potém wyznacza czas i miejsce, i za godzinę mamy się strzelać.«

Alfons czuł całą okropność swego położenia. Zerwana przyjaźń z Flavignim, zamykała przed nim dom kochanki. Pojedynek z obrażonym, rozdzielał go na zawsze z kobiétą, do któréj, jak utrzymywał, jego cała istota była przykuta. A przecież bić się musiał. Honor kazał unikać wszelkiego tłómaczenia się, bo jedno nierozmyślne słowo, mogło sławę pani Flavigny narazić. Ale cóż, jeźli Flavigny, polegnie i podobny przypadek przed dwoma laty w Paryżu wydarzony, przyszedł mu na myśl. Mąż padł zabity, a obruszenie powszechne, zniewoliło kochanka do opuszczenia Paryża, a nawet i Francyi. Jakikolwiek byłby wypadek walki, Alfons traci życie lub szczęście. Lepiéj więc dać się zabić.

Alfred wstał tymczasem, ubrał się, i w milczeniu szedł z przyjacielem, któremu miał być za świadka, na miejsce przez Flavigniego wybrane. Ten już niecierpliwie czekał na przeciwnika. Gdy go spostrzegł, postąpił ku niemu.

»Bez wymówek i tłumaczeń, panie Meran, spodziéwam się, iż mnie oszczędzisz.«

»Tak chcę, oto jest mój świadek pan de Nenilly, którego znasz. Niech z świadkiem twoim poczyni potrzebne przygotowania.«

»Jakie przygotowania?«

»Niech wymierzy odległość, w któréj strzélać się mamy.«

»Panie de Meran, jam obrażony, ja broń wybiéram. Bijemy się na szpady.«

Przeciwnicy sami zmierzyli swoje szpady i poczęła się walka. Tkwi w piersi każdego uczucie zachowania siebie, które nieraz nawet poniewolnie i nieświadomie chroni od niebezpieczeństwa. Dziécię padając wyciąga ręce, aby się nie skaléczyć—gdy piersi męża grozi ostre żelazo, odtrąci nie myśląc broń zabójczą. Alfons przyrzekł sobie oszczędzać życie Flavigniego—z-razu więc tylko odpiérał razy przeciwnika—lecz ostrze nieustannie błyskające mu przed oczyma, poburzyło krew jego. Z wrodzoném uczuciem łączył się gniew, który rodzi walka; duma i zazdrość dodały ognia, i pewną ręką broń wiedziona, utkwiła głęboko w boku przeciwnika. Z bolesnym wykrzykiem padł Flavigny, Alfons widział krew płynącą, widział jak zamykały się oczy, jak bladły usta. I jego krew zwarła się w sercu, i na jego lica wystąpiła bladość śmiertelna. »Nieszczęsny!« przemówił ledwo zrozumiale, »zabiłem go«—i padł bez czucia na ręce przyjaciela.—»Tak się zdaje, odpowiedział Neuilly, bo też to było pchnięcie dzielne. Ale teraz uchodź, ja pomówię ze świadkiem Flavignego. Ten wié, jak się rzecz działa, powiém mu, żeś ty wybiérał pistolety, aby wystrzelić w powietrze, że Flavigny sam cię przymusił, sam był winien—ależ uchodź!«—Alfons nie słyszał co doń mówiono. Otrzeźwiony nakoniec staraniem przyjaciela, podniósł się, opuścił pobojowisko, i powoli wracał do Paryża. Szczęście, przyszłość, miłość, wszystko przepadło. Ulédz musi winowajca powszechnéj opinii, która się krwi obrażonego męża od niego domaga, która go już potępiła. Nie pod nieszczęsnąż gwiazdą jam się urodził, mówił do siebie. Nie mógłże Flavigny mnie ranić! O jakbym chętnie krwią opłacił to szczęście, którém zniszczył teraz na zawsze. W tych myślach godny pożałowania Alfons przybył do miasta. Niebo było jasne i pogodne, gwar wesoły w ulicach. Blady i posępny przeciskał się przez ciżbę, i nieświadomie zbliżył się do mieszkania Flavigniego. Zdziwiony, staje i długo wpatruje się w dom. Brama otwarta, wchodzi. Pokornie kłania mu się odźwierny; wszakto przyjaciel pana! W dziedzińcu igrał chart Flavigniego z małą, ładną dziéwczynką; opuszcza ją, i łaszcząc się przyskakuje go witać. Dziéwczynka przybiega wesoło, i z uśmiéchem powiada mu: »Dzień dobry«; byłato siérota, którą Flavigny z litości w dom przyjął, ale któréj żona nie lubiła i rada była się pozbyć. Biédne dziécię! zawołał Alfred, zostałaś bez podpory. Nieszczęsny! jam cię znowu osierocił. Wychodzi na piętro. W przysionku spotyka pokojówkę, która mu szepce: Pani już wstała, znajdziesz ją pan w salonie. Te słowa przeraziły go. Chwieje się w kroku, chce wrócić, lecz nie może. On całą duszą kocha tę kobiétę, którą wdową uczynił. Chce ją jeszcze obaczyć, musi ją widziéć, a potém opuścić na zawsze. W przedpokoju nowa nań męka czekała. Syn Flavigniego, pięcio-letni, pusty chłopczyna, kołysał się na wielkim drewnianym koniu. Ledwie spostrzegł wchodzącego, porzuca zabawki i spieszy ku niemu.

»To dobrze, żeś przyszedł panie Alfonsie. Ale gdzie pałasz, który miałeś mi przynieść. Wiesz co, jabym wolał szpadę, ale prawdziwą szpadę, jaką tato ma i ty; prawda, ty masz szpadę?...«

Tu otwiéra drzwi i wciąga Alfonsa do pokoju. Pani Flavigny siedziała przy stoliku do roboty, wzrok jéj spoczywał na chińskiém naczyniu, które było darem Alfonsa, i z którego świéże kwiaty po całym pokoju woń roznosiły. Na fortepijanie léżały jeszcze rozwarte nóty, z których dniem piérwéj oboje śpiéwali. Nigdy mu się tak piękną nie wydała, nigdy z tak słodkim nie powitała go uśmiéchem.

»Jakąż dobrą nowinę przynosisz mi tak rano panie de Meran?«—Jak posąg ze spuszczonémi oczyma stał Alfons na środku pokoju.

»Czy cię spotkał jaki smutek?« spytała z obawą, spostrzegłszy jego bladość, a widząc, że

obecność synka wiąże mu usta, dała znak chłopcu, aby się oddalił.

»Teraz mów, co ci się stało? Czy możemy ci w czém pomódz? ja albo mój mąż?...«

»Flavigny!« zawołał z bolem Alfons. »Czyjeżto imię pani wyrzekłaś?... O, ja nieszczęśliwy! Z obrzydzeniem mnie odepchniesz.«

»Dla Boga! co się zdarzyło?« pytała, drżąc z bojaźni.

»Flavigny skrzywdził mnie słowami, wyzwał i mimo woli przymusił.«

»Dokończ, co mam usłyszeć?«

»Biliśmy się na szpady, i jam go zabił.«

»Zabił?! i kto? ty Alfonsie? ty?«

I padła zemdlona na krzesło. Padając, trąciła nogą stolik, naczynie porcelanowe zachwiało się, straciło równowagę, upadło, i rozleciało się w kawałki. Alfons ze drżeniem uchwycił rękę zemdlonéj, przyłożył po raz ostatni do ust, zadzwonił gwałtownie na pokojówkę, i wybiegł z pokoju. W przedpokoju próżno, próżno w przysionku i na wschodach, w izdebce odźwiernego, nikogo nié ma. Nikt nie igra z psem na dziedzińcu. Wszędzie cisza grobowa, brama stoi otworem. Alfons wyszedł. Od rogu ulicy posuwał się powoli pojazd otoczony od kilku sług. Byłto pojazd Flavigniego, nieszczęsnego pana do domu wiozący. Jak od furyi gnany uciekał Alfons.— »Koni pocztowych!« zawołał na swego sługę. »Za godzinę muszę Paryż opuścić.«—I w pół godziny już siedział w powozie.—»Dokąd jedziemy?« zapytał sługa, do Brukselii? do Londynu? czy do Rzymu?...«—»Dokąd chcesz, byle wyjechać z Paryża.«—Poczciwy Georges dawno rad był Rzym obaczyć. Téj sposobności nie opuści.—»*Barrière d'Italie!*« zawołał na pocztylijona, i konie puściły się cwałem. Wcisnąwszy się w kąt powozu, Alfons raz jeszcze zamyślił się nad całém tém zdarzeniem, które pozbawiało go na długi czas Paryża, a szczęścia na zawsze.—Czy do prawdy, zawołał po zimniejszéj rozwadze, powinien byłem dać się zabić? Czyż ja wyzwałem?... Czyż nie broniłem tylko mojego życia?... Z panią Flavigny stosunek zerwany... ale cóż stałego pod słońcem! Wszystko się zmienia, psuje, wszystko musi mieć koniec. Myślmy o Włoszech, o rozkosznéj Florencyi, o uciechach w Neapolu, których żaden podróżny nawielbić się nie może! Czyż nakoniec Rzymianki nie są najpiękniejsze kobiety na świecie. Alfons, wyliczając wszystkie rozkosze Włoch, zapomniał, iż kto je chce używać, musi mieć spokojną duszę i myśl wesołą. Lecz wkrótce zrobił to smutne doświadczenie; nigdzie długo pozostać nie mógł, nigdzie mu się nie podobało. Przepyszna Florencyja wydała mu się lichém miastem, neapolitańskie niebo posępném i pochmurném, sława o piękności Rzymianek, aż do śmiészności przesadzona. Jedna tylko pani Flavigny była piękną. Boleść, oddalenie, wspomnienia upłynionego szczęścia jeszcze więcéj podżegały dawną namiętność Alfonsa. Po trzech miesiącach Włochy były dla niego nieznośne. Lepiéj umrzéć, jak trwać w tym stanie. Ja muszę wracać, muszę być w Paryżu, a jeźli świat mnie odtrąci, zgodzę się z mojém przeznaczeniem. Będę pędził życie pustelnicze, będę unikać wszelkiego towarzystwa, wyrzeknę się moich dawnych znajomych; lecz wieczorem gdy nikt widzieć nie będzie, zakradnę się pod jéj mieszkanie, szczęśliwy, jeżeli odblask jéj lampy zobaczę. Już ta myśl sama wróciła mu dawną wesołość, wyjechał, płacił pocztylijonom podwójne poczesne od Rzymu aż do Paryża, i szóstego poranka stanął przed bramą swojego mieszkania. Gdy wyjrzał z pojazdu, ktoś z odźwiernym rozmawiał odwrócony twarzą, ale głos zdawał mu się znajomym. Podróżny wysiada, zbliża się i obadwaj na raz wykrzyknęli: »Meran! drogi Meran! Flavigny! ty żyjesz?!«—»Żyję przyjacielu, jak widzisz i nie posiadam się z radości, że cię znowu oglądam. Już od dwóch miesięcy czynię co można, aby powziąć o tobie wiadomość, bo moja niesłuszność względem ciebie była tak wielką, tak nie do przebaczenia, że ja sobie całe życie wyrzucać będę. Wiém wszystko, mała Zoe mi wyznała, tyś nigdy nie myślał do niéj się umizgać. Zasłużyłem na tę nauczkę, którą mi dałeś, ale więcéj było strachu niż niebezpieczeństwa. W dwóch tygodniach wyzdrowiałem. Nieprawdaż Alfonsie, ty nié masz do mnie urazy? Tyś mi przebaczył?« Alfons nie wiedział co się z nim dzieje. Wpatrzył się w Flavigniego, jak człowiek z głębokiego snu zbudzony i ledwie wybąknął: »Zoe? Zoe!?«

»Śmiészna i nierozważna zazdrość«, rzekł Flavigny, widziałem cię z nią w loży, i zdało mi się, iż chcesz mi ją odkochać. Wam to wszystko idzie snadniéj, jak żonatemu. Ostrze twojéj szpady mnie wyléczyło i dobrze mi się stało. Ale teraz jesteśmy pojednani, nieprawdaż przyjacielu?«

Alfons nie mógł się dłużéj wstrzymać od śmiéchu i dziwnym głosem powtórzył Flavigniego słowo: »Pojednani?!«

»Tak przyjacielu, mojéj żonie przyznałem się do wszystkiego. Miałem co słuchać! Uznała, żem za porywczy, lecz już prawie jest przebłagana. Zupełnie mi jednak nie przebaczy, aż póki ciebie nie przywiodę. Dziś jész obiad z nami, bez wymówki.«

W kilka dni po przyjeździe, wypocząwszy z podróży, odwidził Alfons Alfreda de Neuilly.

Wybrał przyzwoitą godzinę i nie miał sprzéczki ze służącym. — »Dzięki niebu, że cię znowu widzimy«, zawołał Alfred rzucając się w jego objęcia. Czy godzi się tak nagle przyjaciół opuścić, nie powiedziawszy, gdzie jedziesz, i nie dać o sobie wieści. Czy wiész, że twój pojedynek najlepiéj się zakończył?«

»Wiém, widziałem się z Flavignim, który nigdy tak zdrów nie był.«

»Gdyby nawet był umarł, twoja sława nicby na tém nie uciérpiała. Publiczność tak się oszukała jak Flavigny. Tyś mniemał, że się bijesz o żonę, a tu szło o Zoe. Publiczność głośno sarkała, że Flavigny, człowiek żonaty, wyzwał cię za tancerkę, aleście znowu w zgodzie?«

»W najlepszéj! on mnie przepraszał.«

Madonna van Dycka.

W jednéj z obszérnych sal pałacu w St. James, któréj ściany adamaszkami i gobelinami obite, zebrało się świetne koło młodych, pięknych dam; każda w pieszczonym, białym ręku miała robótkę, z czém młodym panienkom tak do twarzy. W wesołéj, polotnéj rozmowie oczekiwały królowéj, na któréj dworze honorowémi były damami. Księżna Alby, piérwsza dama królowéj wdowy, tworzyła powagą i wiekiem w téj grupie kontrast, podnoszący znacznie piękność młodych pań.

W gronie tych przecudnych róż, odznaczała się najmłodsza niewymyślną toaletą i przyjemném naiwném spojrzeniem. Miała na sobie białą, jedwabną suknię, z krótkiémi rękawami, co odsłaniało pięknie utoczoną rękę. Széroki kołnierzyk okrywał szyję śniącéj białości; na piersi wisiał krzyżyk na łańcuszku. — Jéj rodzina należała do najznakomitszych w Szkocyi; ojciec, mylord Ruthwen, posiadał znaczne dobra, i sławny herb, który więcéj znaczył aniżeli jego złoto. Dolly (to było jéj imię) przybyła na dwór angielski, aby bawiąc na pokojach królowéj, wychowanie pobożne, wzięte w domu ojcowskim, jeszcze więcéj wydoskonaliła. Skromna i zamknięta w sobie, zwróciła ducha na poważniejsze przedmioty, a w piękném jéj sercu miłość ku sztuce, zajaśniała świętym płomieniem. W malarstwie, w którém wielkie zrobiła postępy, duch jéj odkrył nieprzebrane skarby. Przy tak spokojném zajęciu się, czasem do łez była wzruszona, czasem z radości się nie posiadała. W pałacu jéj ojca była galeryja obrazów najpiérwszych mistrzów; ona między témi niememi postaciami żyła jak w niebie; Paweł Véronése, Guido, Rubens; byli jéj przyjaciołmi; czuła wdzięczność dla tych mistrzów, którzy jéj samotność zmienili w najpiękniejsze życie duchowe.

Postępowaniem różniła się bardzo od otaczających ją młodych lady. Bojaźliwa i łagodna, ledwie śmiała odpowiadać na ich puste pytania.

Wielki zégar w salonie uderzył dziesiątą, a wszystkich oczy zwróciły się w jedną stronę.

»Długo każe na siebie czekać«, odezwało się kilka głosów; w téj chwili pokojowiec zapowiedział malarza van Dycka.

I powstał w sali szelest sukien jedwabnych; jak wiatr po wiotkiéj roślinie, tak przebiegł ruch po całém zgromadzeniu; każda z dam poprawiając suknią, starała się swéj kibici dodać nowego powabu.

Uczeń Rubensa, choć przywykły do widoku pięknych kobiét, nie mógł przecież ukryć podziwienia, znalazłszy się śród tak świetnego koła; zmiészał się i spuścił oczy. Księżna Alby przypisując sobie zmieszanie młodego człowieka, chciała go ośmielić.

»Mówią powszechnie, mój panie, iż posiadasz talent?«

»Za wiele zaszczytu dla mnie mościa księżno. Uprzedzeni tylko tak o mnie sądzą, bo ja dotąd nic nie zrobiłem, coby mogło to mniemanie usprawiedliwić.«

Van Dyck dobitnie i z dumą odpowiedział na niewczesne pytanie księżny.

Dolly zapłoniła się ze wstydu, widząc, jak księżna dumnie przyjęła malarza, i znów zapłoniła się z radości, gdy usłyszała odpowiedź jego. Podniosła nań oko, on zrozumiał i podziękował jéj w głębi serca.

»Będziemy widziéć«, ozwie się księżna, »królowa żąda próby; właśnie chce odnowić kaplicę królewską, a pan tam wiele będziesz miał do czynienia. Do pracy na zimę wyznaczą panu hotel de Blaifford, stary klasztor, który z tąd widziéć można; tam pan będziesz mógł swobodnie i bez przeszkody pracować, na lato zaś zamieszkasz zamek Eltheim; oprócz tego dostaniesz pan roczną pensyję. Spodziéwam się, iż to dla artysty będzie dostateczném.«

»Sztuka, mościa księżno, nie da się złotem okupić; gdybym ja posiadał talent, który rozwinąć się staram, te względy, któréni mnie zaszczycają, byłyby za małe do opłacenia prac moich.«

»Bardzo dobrze; pan jesteś dumnym a my znakomici. Jakkolwiek bądź, nagrody te otrzymasz tylko pod warunkiem: Królowa myśli pana mianować nadwornym malarzem, jeźli na popisach w Rzymie, dostaniesz koronę. Zadano: odmalować głowę *Madonny.*«

»Jeźli względy królowéj od tego zawisły warunku, jestem w obawie, że ich nie pozyskam.«

»Jakto?«

»Bo w Rzymie zwycięztwa nie odniosę«, odpowiedział van Dyck z wyrazem smutku, który tylko Dolly w swéj duszy uczuła.

»I czemuż pan o ten zaszczyt ubiegać się nie chcesz? Czy nie ufasz sobie?«

»To nie, lecz jakże odmaluję Bogarodzicę? Nié mam wzoru.« To mówiąc, utkwił spojrzenie w licu Dolly. »Nadaremnie szukałem wszędzie niebiańskiego oblicza. Nie znalazłem nigdzie téj boskości duszy, która w oku promienieje, ani téj dobroci serca, która się przebija w każdym ruchu kobiéty.«

Wszystkie młode damy spojrzały na van Dycka, wydał im się pięknym i szlachetnym. Na jego wysokiem czole promieniał się jenijusz sztuki.

»Przecież mi się zdaje, iż wzorów nie braknie malarzom.«

»O, pięknych wzorów dostanie za pieniądze. Ależ gdzież ta święta godność i anielska piękność, którą moje zachwyca się oko? Ach dziewica, którąm ujrzał, jest wysokiego rodu, i nie zechce być wzorem dla ubogiego artysty!«

I rzucił ognistém spojrzeniem na Dolly. Dziewica się zmiészała, jéj towarzyszki widząc to, domyśliły się łatwo, iż kobiétą, o któréj mówił, jest Dolly. Zawiść zrodziła się w ich sercu.

Stara księżna, która nic nie postrzegła, spytała: »I któż jest ta znakomita dama?«

»Żywa *madonna,* księżno!« Malarz pożegnał damy, rzucił jeszcze raz okiem na Dolly i przemówił do księżny: »Jeźli odniosę zwycięztwo, ujrzysz mnie pani, jeźli nie, — opuszczę Angliję.

Van Dyck zamieszkał hotel Blaifford naprzeciw pałacu St. James. Tam zamyślił wykonać obraz na popis, w tymże samym czasie, gdy kaplicę malował *al fresco.*

Wziął pęzel do ręki, a mając w duszy anielską postać dziéwczyny, począł rzucać jéj rysy na płótno. Ale natchnione uczucie, z którego wtenczas płynie sztuka, gdy je z czasem myśl rozjaśni, nie dało mu pęzlem władać. Był za namiętny, aby wcielić ideę, która w duszy pieścił. — Śród płonnych usiłowań minął dzień cały; noc zastała go w pracowni, w głębokim smutku, że uroczy obraz duszy, na płótno przenieść nie zdołał.

A biédna Dolly znosiła złośliwe przymówki towarzyszek; za wybór malarza gorzko pokutować musiała; ale w jéj sercu zrodziło się nowe uczucie. Po wieczornéj modlitwie, ostatnia jéj myśl była o malarzu.

Już była północ; na niebie błyszczały tysiące nowych świateł; o krużganki pałacu odbijało się blade światło, rzucając migotne promienie na pobliski, ponury klasztor Blaifford. Nagle otwiérają się drzwi pałacu, jakaś cień przemyka się po balkonie, po wysokich wschodach zsuwa się na dół, przebywa obszérny dziedziniec i zwolna zbliża się do bramy klasztoru.

Trudno powiedzieć, jakim sposobem ta istota, ta cień kobiéca, mogła znaleźć wyjście z pałacu? którędy przybyła do starego gmachu? Musi dobrze z nim być obeznaną, bo szybko mija długie sale, aż zatrzymawszy się w pracowni van Dycka, usiada na stołku, wprost naprzeciw tablicy malarskiéj.

O zdziwienie, o radości malarza! To była Dolly! Tę istotę, któréj obrazu uchwycić i w farby zakląć nie zdołał, widzi przed sobą; sama przybywa, sama chce mu być wzorem. Jakaż władza wiedzie ją do tego miejsca? Jakaż myśl nadaje jéj takiéj siły i odwagi? Malarz z przepełnioném wdzięcznością sercem ukléka przed nią; ona skinęła nań aby powstał, i wskazała na pęzel. Jéj spojrzenie przenika go tak niebiańskim płomieniem, iż mniema wszystko być snem; fantazyją w idealne uniesiony sfery, myśli, iż jest w niebie; śród śpiéwu anielskich chorów, widzi Bogarodzicę w promiennéj koronie; on już nie jest więcéj słabym, rozpaczającym artystą jak piérwéj; poczuł się mistrzem w całéj potędze ducha. W milczeniu, niewidomą wiedziony siłą, chwyta za pęzel, i w kilku godzinach stwarza najpiękniejsze, boskie oblicze *madonny!*

Dziewica widząc, iż natchniony malarz kończy swój obraz, iż wzoru mu więcéj nie potrzeba, wstaje, i spokojnym, pewnym krokiem oddala się z klasztoru, tą samą drogą, którą przybyła.

Z wytężoném okiem patrzył nań van Dyck; oddech w nim ustał, głos oniemiał; żadnego ruchu uczynić nie śmiał, aby odchodzącą zatrzymać dziéwicę. Ona dla niego nie ziemską była istotą! Mniemał, iż Bogarodzica w wyższe ulatuje sfery.

Osłabiony pracą, i wewnętrzném wzruszeniem opuścił głowę na poręcze krzesła i usnął.

Gdy się obudził, najpiérw rzucił okiem na obraz. W zachwyceniu przypatrywał się pełnéj życia, nocnéj pracy i padł na kolana, składając najżywsze dzięki téj postaci, która mu się zjawiła, czyto aniołowi czy kobiécie.

Daremnie usiłował zdjąć zasłonę z tajemniczego zdarzenia. Przywoływał wszystko w pamięć, ale nie mógł prawdy odkryć. Gdy jego domysły ciągle padały na Dolly, napisał w końcu do niéj następujący bilet:

»Powiédz mi pani, czyli w istocie jesteś aniołem? powiédz mi, jeźli ubogiego artysty, któregoś życiem natchnęła, nie chcesz pozbawić »rozumu? Powiédz, kto mi ostatniéj zjawił się »nocy? *Madonna*, czy jaka ziemska istota?«

Księżna Alby najpiérw otwiérała listy do panien, powierzonych jéj opiece. Jakież było jéj zdziwienie, gdy taki bilet przeczytała. — »Niesłychana rzecz«, krzyknęła, »panienka wysokiego rodu, tak dalece się zapomina, iż sama o północy chodzi do malarza.«

Zadzwoniła i kazała przywołać obwinioną. Lecz jeszcze w większy gniéw wybuchła, gdy Dolly, spokojna jak zawsze, zapewniła, iż zarzutów nie rozumié.

Księżna spodziéwając się otwartego wyznania i szczérego żalu, o niczém już teraz słyszéć nie chciała. Narobiła krzyku w całym pałacu i wkrótce postanowiono, ojcu, hrabi Ruthwen, odesłać nazajutrz biédną Dolly.

Prośby i łzy nic nie pomogły; grzesznicy pozwolono tylko przez noc jedną pozostać w St. James.

Aby nowego uniknąć nieszczęścia, księżna kazała obwinionéj, w jednym z nią spać pokoju.

Była północ, a Dolly znowu jak wczoraj, wstaje z łóżka. Szelest budzi księżnę ze snu lekkiego. Szczęśliwa, iż przekona wszystkich, którzy jeszcze powątpiéwali o winie dziéwczyny, zwołuje pałacowe damy.

Zapalono pochodnie. Księżna otoczona licznym orszakiem, spieszyła w ślady idącéj Dolly. Ta, jak wczoraj przebyła długi dziedziniec, i weszła do klasztoru.

Nikt już nie wątpił o winie biédnéj dziéwczyny. Cały orszak przybył za nią aż do pracowni. Widziano ją siedzącą naprzeciw tablicy malarskiéj. — Hałas i światło pochodni obudziły ją — była lunatyczką.

Tak dla artysty służyła za wzór, a czém do jego sławy się przyczyniła, to odpłacił jéj miłością.

W Rzymie odniósł zwycięztwo, a na angielskim dworze obsypano go honorami i majątkiem.

Po niedługim czasie, w kościele św. Pawła, odbył się ślub malarza van Dycka z nadobną córką hrabiego Ruthwen de Gorre.

Literacka puścizna Napoleona.

W dzienniku *Revue des deux Mondes* zamieszczona jest wiadomość o nieznanéj dotychczas literackiéj puściźnie Napoleona. Są to różne wypisy, krytyczne uwagi, listy, rozprawy i wszelkiego rodzaju próby, które młody Bonaparte od roku 1786 do 1793 skréślił. Zostawszy konzulem, przewidując na przyszłość historyczną wartość tych rzeczy, kazał je zapieczętować i doręczyć kardynałowi Fesch, aby je na przypadek zmiennych politycznych kolei losu zabezpieczył. Dopokąd kardynał ten żył, nienaruszano tego pakietu, a nawet po jego śmierci nie ważono się go rozpieczętować, aż nareszcie temi czasy dostał się w ręce teraźniejszemu właścicielowi, którego nazwisko jest niewiadome. Z tych licznych rozpraw rozmaitego rodzaju, w przeciągu nadmienionéj epoki, poznajemy cały sposób myślenia Napoleona, który zawsze wymienił nietylko dzień, ale nawet godzinę swéj pracy. Długo przykładał się całą mocą swéj woli do najtrudniejszych nauk o prawodawstwie, finansach i organizacyi towarzyskiéj. Z Neckerem, Adamem, Smithem, Mablym, Filangierym i t. p., jak przypiski i komentarze jego do ich dzieł okazują, był tak dobrze obeznany jak z wielkimi dziejopisami starożytności. Rzecz osobliwsza, iż we wszystkich jego rękopisach nié masz ani razu wzmianki o Płutarchu, który miał być jego autorem ulubionym. Z wielkim zapałem przykładał się młody Bonaparte do zbadania stosunków kościelnych we Francyi, i objawia zdanie, w którém poznajemy główne pomysły zawartego późniéj z stolicą apostolską konkordatu. »Napoleon«, utrzymuje powyższy dziennik, »ukształcił się środkami, które są najstosowniejsze do rozwinięcia zdolności wielkich jenijuszów, to jest: pracą, samotnością, rozwagą i nieszczęściem. Na tronie zbiérał tylko plany długo-letnich natężeń ubogiego porucznika artyleryi. Nic nie było przypadkowém w jego zawodzie; musiał ciągle walczyć, a usiłowanie jego nie zawsze wieńczył skutek pomyślny. Nie przypadek sprowadził go do Tulonu, gdyż on nie zaniedbał żadnéj sposobności, aby się dać poznać. Sławny minister wezwany jest do stéru państwa; Napoleon podaje do niego prośbę względem stosunków swojéj rodzinnéj wyspy. Rząd zamyśla zmienić w Korsyce organizacyję wojskową; Napoleon ujmuje się o to nawet z niebezpieczeństwem utracenia swojéj posady. W każdéj sposobności dawał o swoim charakterze wysokie rozumienie, a gdy usiłowania swoje ujrzał bezowocne, wracał znowu do samotności i pracował w zaciszy. Odtąd nie można już, jak dotychczas czyniono, tych siedm lat odrywać od życia Napoleona, lecz owszem należy je policzyć do najpiękniejszych i najdzielniejszych w jego życiu. Wyniesienia jego nie można już poczytać za igrzysko losu.« Jakkolwiek jego patryjotyczny i polityczny sposób myślenia, późniéj zmienił się, jednakże co się tyczy lekce-ważenia spekulacyi

filozoficznéj i pogardy wszelkich miękkich uczuć, zawsze sobie wierny pozostał. I tak w rozmowie o miłości przyznaje, »że miłość więcéj złego niż dobrego zrządza na świecie, i że wielkiém byłoby dobrodziejstwem, gdyby jakie opiekuńcze bóstwo, ludzi od niéj uwolnić chciało.« W tym samym dyjalogu utrzymuje on, »że definicyje metafizyczne na nic się nie przydadzą, jak tylko do zamącenia wyobrażeń.«

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 13. i obejmuje: 1) Uprawa ziemi w czasie największéj posuchy wywiéra zbawienny wpływ na roślinność. 2) Jakie korzenie należy przy drzewach przesadzać się mających obcinać? 3) Odpowiedź na niektóre ze 112 pytań, piątemu zgromadzeniu niemieckich i lasowych gospodarzy, na posiedzeniach od 1go do 8go września 1841 w Doberanie, w Wielkiém księztwie Meklenburskiém, do rozwiązania przedłożonych. (Dokończenie). 4) O gorzelnictwie krajowém. (Dokończenie). 5) Wiadomości czasowe. 6) Literatura.

W Warszwie wyszły następujące dzieła: *Trzy Sieroty*, powieść historyczno-obyczajowa z czasów panowania Zygmunta III. oryginalnie napisana przez Romana korab Laskowskiego. 1842 we dwóch tomach. — *Sceny małżeńskie*, powieść wydana przez Franciszka Chlewaskiego, 1842 we dwóch tomach. — *Nowy gabinet powieści*, S. Z. Sierpińskiego, 1842. Biedna Józia, powieść. Gawędki: 1) Zabójcy. 2) Historyja pana Bartosza. 3) Mądry Maciek. 4) Historyja o Bazyliszku warszawskim. 5) Sąd diabłów na trybunale lubelskim, str. 145. — Tamże wyszedł z pod prasy *Obraz historyi powszechnej od najdawniejszych do najnowszych czasów*, zeszyt piérwszy, nakładem A. E. Glücksberga 1842. Jestto piękne wydanie, i ma być ozdobione 24 rycinami na stali; — a przytém od tegoż wydawcy zapowiedziana jest: *Geografija powszechna*, ułożona według najcelniejszych pisarzy, jako to: Malte-Bruna, Balbiego, Rittera i innych we dwóch tomach z 24 rycinami na stali, którą obiecuje wydać równie pięknym drukiem i na równie pięknym papierze, jak jest wydany *Obraz historyi powszechnej*. A...

Tamże wyjdzie z druku nowy romans pod tytułem: *Trzy przyjaciółki*, oryginalnie przez panią A. K. z B. Ż. napisany, w dwóch tomach.

Z Wrocławia. *Maryna Mniszchówna*, trajedyja. — *Poezyje pomniejsze* Piotra Dohlmanna odbite 1841. Dzieło przeznaczone na wystawienie pomnika Sobest. Fabian. Klonowiczowi, zwanemu: Acernus, w miejscu jego urodzenia.

Sposób przemienienia w kamień ciał zwierzęcych. Wychodzący w Neapolu dziennik *Omnibus* donosi: »Wiadomo, że przed kilką laty zeszedł z tego świata Florentczyk Girolamo Segato nie powierzywszy nikomu swéj nadzwyczajnéj tajemnicy petryfikowania ludzkiego ciała z zupełném zatrzymaniem jego gładkości i barwy. W czasie gdy jeszcze nad tą stratą ubolewano, niespodzianie uwieńczona została umiejętność najpomyślniejszym skutkiem. Gdyż Dr. Angelo Comi (urodzony w Rzymie r. 1812), zrobił już w swoim dwudziestym piątym roku w zawodzie fizyki ważne odkrycie, to jest wynalazł sposób przeistaczania wszystkich organicznych ciał w kamień, i późniéj sposób ten wydoskonalił. Doktor Comi, który za pomocą swego wynalazku każde ciało z zatrzymaniem piérwiastkowego kształtu i barwy, w przeciągu kilku dni w kamień przemienia, przewyższył nawet naturę, która dopiero w ciągu wieków sama przez się takowe przemiany uskutecznia. Fizyk ten zdaje się ręką swoją urzeczywiszczać skutek bajecznéj głowy Meduzy. Za pomocą jego sztuki otrzymują nieżywe ciała czarodziejskie życie, które je od grobu wybawia; np. spetryfikowane ryby i ptaki połysnémi barwami swémi zdają się znowu wyzywać żywioły w zawody, a nawet kwiaty, te jedno-dniowe królowe, przybiérają na nowo swoję świeżość, która wszystko niszczącemu czasowi się opiera. Neapol będący teraz stałém mieszkaniem tego młodego Rzymianina, posiada już najpiérwsze i najszczęśliwiéj wykonane próby téj sztuki. W składzie *preparatów* znajdującym się w szpitalu na przedmieściu *Loreto*, prócz kilku ryb i ptaków, przechowują także chłopca, dwie ludzkie głowy i ciało piętnasto-letniéj dziewczyny. Twarz jéj mocno śmiercią zeszpecona, zatrzymała tu wyraz i prawdę życia; w otwartych oczach widać ogień, włosy na głowie są miękkie i gibkie, a jak kamień twarde jéj członki; zdaje się, że wyszły raczéj z ręki rzeźbiarza, niż z ręki śmierci, która wszystko niszczy. Ciała wielkich, dostojnych osób nie będą odtąd podlegały zepsuciu. Sposób doktora Comi ochroni je od zniszczenia, przetrwają one długie wieki, i niezmienną swą twarzą zagrzewać będą do sławy i cnoty najpóźniejszych potomków swoich. Comi obawiając się, aby przypadkiem przez zawczesną śmierć jego, świat nie był pozbawiony tego ważnego wynalazku, podobnie jak się wydarzyło z fizykiem Segato, postarał się, by takowy rządowi w swoim czasie był odkryty.

Lordowie Wielkiéj Brytanii zasiadający w izbie wyższéj, stanowią bardzo sędziwe zgromadzenie, gdyż jeden z nich, lord Lynedoch ma przeszło lat 90; szesnastu kolegów jego przeszło 80, a czterdziestu i jeden przeszło 70.

Ograniczenie nauki. Gdy za Fryderyka II. króla pruskiego, minister Zedlitz zażądał, aby w szkołach trywijalnych uczono cokolwiek jeografii, uważano go za — popieracza zbiegowstwa! Przeciw nauce pisania okazywano także wielką obawę; utrzymywano, że dziewczęta będą pisywały listy miłosne, a chłopcy wykształcą się na próżniaków, prośby i skargi chłopom piszących. Większe uszanowanie dla szkół i nauczycieli okazał wielki kanclerz lord Brougham. »Nauczyciel jest władcą naszéj epoki, alfabet jego jest potężniejszy niż bagnet żołniérza«, mówił on w parlamencie roku 1828.

Wydatki na wojska europejskie. Podług doniesień statystycznych ogółowa summa, którą od 1. stycznia 1830 do ostatniego grudnia 1841 r. ze strony wszystkich europejskich państw na utrzymanie flot i wojska lądowego wydano, wynosi 22,000 milijonów franków, czyli 8,800 milijonów złr. m. k.

Neapol. Cudzoziemiec, który teraz przyjedzie do Neapolu, nie zastanie już tych ludzi, bez których sobie wprzódy tego miasta wyobrazić nie mógł. Każdy podróżny rzuciwszy okiem po zatoce, któréj dwa końce stanowią: Pauzylipo i Wezuwijusz, szuka sławnych Lazaronów, których zawsze za najdoskonalszy wzór niedbalstwa, gnuśności i ubóstwa poczytywano. Pokazują mu wprawdzie kilku majtków, którzy tylko w koszuli i płóciennych spodniach siedzą w porcie, i ciekawie słuchają mowy improwizatora, albo też kilku głodnych biedaków, którzy tak tam, jak i gdzie indziéj, łakomo spoglądają na sprzedawane jadło; ale nić masz

tam już właściwych Lazaronów, owych poetycznych żebraków, których krociami spodziewał się ujrzeć na ulicy. W kraju zwanym *dolce farniente* zdaje się teraz każdy być zatrudnionym, a jeźli znajdziesz próżniaków, zdają się to być raczéj majętni i bogaci, nie ubodzy, którzy za pożywieniem się oglądają. Ujrzysz tam wprawdzie obdartych włóczęgów, ale nic więcej, jak w innem mieście; spotkasz wprawdzie gdzie niegdzie osoby pojedyncze, któreby za Lazaronów poczytać można, ale ta klasa już nie istnieje. Zniknęła także niechludność, na którą wielu podróżnych się uskarżało; najporządniejsze dzielnice miasta oświetlone są gazem, i wszelki przepych wielkiéj stolicy zwraca wszędzie twoję uwagę. Jedna tylko rzecz pozostała w Neapolu tak jak dawniéj, to jest, rzezimieszki, oszusty; ale nawet i z tymi postępuje teraźniejszy rząd z bezwzględną surowością, tak, że i ci wkrótce podobnie jak po innych wielkich miastach więcej naprzykrzać się nie będą.

Chów koni we Francyi. Z wydanego niedawno we Francyi urzędowego spisu okazuje się, że z ostatnim grudnia 1841 było w kraju 2,453,712 koni, a z tych 1,241,789 klaczy. Ilość rocznie urodzonych źrebiąt wynosi 185,303. Oprócz tego ma Francyja 1577 ogierów, do których 49,408 klaczy rok rocznie sprowadzają.

Wielkie łowy w Indyjach wschodnich. *Journal des Chasseurs* zawiera o łowach w Indyjach wschodnich niektóre bardzo zajmujące szczegóły, i tak utrzymuje on, że czarodziejska władza, jaką tygrys wywiera na niektóre źwierzęta, jest w Indyjach wschodnich rzeczą niezaprzeczoną. Gdy sarna tego drapieżnego źwierza spostrzeże, natychmiast jak piorunem rażona lub niewidomą siłą wstrzymana, staje jak wryta i nie rusza się z miejsca, aż pokąd się tygrys do niéj nie zbliży; jestto rzecz tém osobliwsza, ileże ciężki ten zwierz nie lubiący biedz spieszno, inaczéjby jéj ułowić nie mógł. Ogień, który z oczu jego błyska, nigdy nie jest okropniejszy jak w nocy. Podróżni przydybawszy w lesie tygrysa, odganiają go gorejącémi pochodniami i biciem w bębny. Rzeczą godną uwagi jest to, że bądź tygrys czatuje na zdobycz, bądź nasycony, spokojnie idzie drogą, zawsze otacza go ptactwo, które nad nim wrzaski przeraźliwe wydaje; a mianowicie paw' zdaje się być przeznaczonym do zapowiadania jego zbliżenia się. Skoro paw' spostrzeże tygrysa, natychmiast zlatuje się całe stado do jęczącego towarzysza, poczém samce spuszczają się na ziemię, i jakby z bojaźni lub uszanowania chcąc temu srogiemu tyranowi złożyć uroczysty akt hołdu, wszystkie razem roztaczają ogón kolisty. Strzelcy umiejący korzystać z każdego wypadku, dla zbliżenia się do stada dzikich pawiów, ukrywają się za pomalowaną ścianą, na któréj przybita jest wypchana skóra tygrysa; tym sposobem zbliżają się na pół strzału do pawiów i zabijają je.

Książę Pukler, który całą zimę w Muskau, dobrach swoich przepędził, przyjął niedawno w służbę znanego szybko-bieguna Mensena Ernsta. Człowiek ten przybył do Muskau w dość lichéj i podartéj odzieży. Bieganiem z Sztokholmu do Kalkuty, z Paryża do Teheranu nie uzyskał nic więcéj, jak tylko sławę szybkobieguna, a będąc nareszcie sytym téj sławy, któréj niekiedy głód towarzyszy, zamyślił szukać sobie stałéj posady. Jeżeli nie u lordów angielskich, u których talent szybko-biegunа nie najlepiéj popłaca, gdyż najczęściéj po wodzie odbywają podróże, spodziewał się przynajmniéj u księcia Pukler znaleźć łaskawy chléb za swoję bezużyteczną sławę. Jakoż zamysł ten powiódł się mu szczęśliwie. Książę przebrał go fantastycznie po oryjentalnemu i używa go teraz za posłańca z listami. I tak niedawno posłał go do Berlina, a Mensen Ernst idąc jedynie za skazówką mapy, nie gościńcami, których w Łuzacyi i Marchyi nie ma, odbył w czternastu godzinach drogę, do któréj poczta prawie 24 godzin potrzebuje. A więc człowiek ten, któremu zabrały chléb koleje żelazne, w niektórych wypadkach użytecznym być może.

Wybawicielka. W Vanes żyje powszechnie znana i poważana niewiasta, która złoty medal na piersiach nosi, całe swoje życie w kruchéj łodzi przepędza i w wszelkich kierunkach burzliwe fale Morbihanu przerzyna. Ludzie uważają ją za anioła stróża zatoki morbihańskiéj, dzieci całują połę jéj grubéj szaty; gdy się w mieście pokaże, mężczyźni z uszanowaniem uchylają przed nią kapelusze, a marynarze uprzejmie ją ściskają za rękę. Gdy zmrok wieczorny na wodzie osiędzie, i wszystkie łodzie już powrócą do brzegu, możesz być pewnym, że po falach krąży jeszcze barka Joanny Mitouard, która się ogląda, ażali nie ma gdzie jakiego nieszczęśliwego, któregoby ocalić można. Jestto niewiasta wysokiego, męzkiego wzrostu i chodząca w grubém odzieniu. Nie ma w sobie nic poetycznego, ale w oczach jéj maluje się ewanieliczna miłość bliźniego. Cała okolica z gorliwością opowiada liczne przypadki, w których Joanna z nadzwyczajną odwagą tonącym życie uratowała. A jednakże dobroczynna ta niewiasta uchyla się od wszelkiéj wdzięczności i zdaje się nie znać innéj rozkoszy, jak podczas burzy i słoty dniem i nocą sterować po powierzchni fal i ratować tonących.

Jako dowód bezczelności dłużników w Ameryce, oszukujących swych wierzycieli, jedno z pism nowo-jorskich opowiada anegdotę następującą: Niejaki M. w Nowym Jorku zbankrutował już cztéry razy a teraz poczytuje sobie za największą przyjemność, gdy może z szyderskim uśmiechem ukłonić się na ulicy tym wierzycielom, których oszukał. Jeden z tych wierzycieli, któremu się ciągle naprzykrzał swym ukłonem, stracił nareszcie cierpliwość i rzekł do niego te słowa: »Panie M., wpan jesteś mi winien sześć tysięcy dolarów.« — »Nieinaczéj.« — »Daruję wpanu tę summę a nawet zakwituję go, jeźli przyrzekniesz, że mi się więcéj kłaniać nie będziesz.« — »To być nie może«, odrzekł M., »nigdy nie zapomnę uszanowania, jakie wpanu winien jestem.« Biedny wierzyciel mimo wszelkiego usiłowania nie mógł zmusić swego dłużnika, ani żeby mu dług zapłacił, ani też żeby mu się nie kłaniał.

Przestroga dla oberzystów. Pan Führt w Sondershausen zabiera się wydać dla oberzystów *Leksykon konwersacyjny.* W piśmie tem wymieni on wszystkich oberzystów na całéj ziemi, opisze wszystkie hotele, wyświeci wszystkie ich zalety i wady, i dołączy formalną taryfę, gdzie najczyściejszą, najtańszą i najgrzeczniejszą usługę mieć można. Przeciw temu wszystkiemu dotąd nic powiedzieć nie można, ale potém następuje zabawny dopisek: »Oberzyści«, mówi pan Fürth, »w których hotelach są pluskwy, oznaczeni będą czerwoną gwiazdeczką, a ci, którzy gościa zdzierają, mieć będą trzy krzyżyki, wyjąwszy oberzystów w Szwajcaryi, gdzie wszędzie gościa zdzierają, i gdzie trzy krzyżyki byłyby za mało.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.